

## Wybryki oniryzmu 1

Przełożył Miłosz Waligórski

pamięci Reného Magritte’a

W pewnym sensie jestem tylko lustrzanym odbiciem tego mężczyzny, który dał się zwabić do śródmiejskiej galerijki w podziemiach na wystawę malarstwa podstarzałego onirysty. W Budapeszcie byłem przejazdem. Po południu miałem jechać dalej do Miskolca, do krewnych. Miasto wciągnęło mnie w rozedrgany zgiełk poranka niczym wir. Akurat minąłem bazylikę, kiedy jakby spod ziemi wyrósł przede mną peszteński przyjaciel sprzed lat – Zoli Markó. Z miejsca zaciągnął mnie do cichej kawiarenki na wspominki starych dobrych czasów. Nie widzieliśmy się trzy i pół roku. Rozmowa jeszcze się nie rozkręciła, a już zaczął mnie namawiać, żebyśmy poszli obejrzeć obrazy Mistrza. Pięć minut stąd, to pierwsza jego wystawa od trzydziestu siedmiu lat. Właściwie powinienem już biec na pociąg do Miskolca. Moje niezdecydowanie potęgowane było przez znikome pojęcie o oniryzmie oraz przez to, że nazwisko podstarzałego Mistrza mówiło nie więcej niż tuziny innych nazwisk z kronik codziennych gazet. Wtedy po raz pierwszy dotarło do mnie, że mogę być tylko lustrzanym odbiciem tego mężczyzny, którego mój przyjaciel Zoli Markó popędza właśnie w dół schodów. Uświadomiłem sobie też, że zależność jest dla niewolnika uwolnieniem od ciężaru jakiegokolwiek odpowiedzialności.

– No i co ty na to?! – krzyknął entuzjastycznie Zoli i wzniosłym gestem dał do zrozumienia, jak powinienem zareagować.

Skinąłem z aprobatą. Podobały mi się nawet te malowane w stylu Magritte’a obrazy, chociaż nie tak bardzo jak mojemu przyjacielowi, który lubił się przekomarzać i nie znosił sprzeciwu, kiedy wino uderzało mu do głowy. Pozwoliłem wziąć się pod rękę i oprowadzać po wystawie; dla każdego obrazu znalazłem słowa uznania, przejrzałem nawet katalog. Część płócien powstała pod koniec lat czterdziestych, reszta w latach sześćdziesiątych lub całkiem niedawno. Styl prac dojrzałych niczym nie różnił się od wczesnych, Mistrz po prostu w jednym duchu odświeżał stare pomysły. Irytowało mnie, że upływ czasu oraz zmieniające się style i mody nie zostawiły w jego twórczości śladu. Peszyła mnie nie jej dziwaczność, ale ponadczasowość. Nie widziałem dwóch takich samych obrazów, a jednak każdy następny zdawał się naśladować poprzedni. Ta deprymująca, nieznośna monotonia niepokoiła mnie. Od razu przyszła mi do głowy niezbyt optymistyczna refleksja, że człowiek zmuszony jest przeżyć całe życie w jednym ciele, zdając się wyłącznie na łaskę i niełaskę swoich mięśni i skóry. By odpędzić czarne myśli, zdecydowałem się coś powiedzieć.

– René Magritte to jeden z moich ulubionych malarzy.

Studiowałem właśnie jeden z obrazów. Na środku kompozycji było widać otwartą na oścież dwuskrzydłową bramę, przez którą do tętniącego wiosennymi kolorami sadu wchodziła naga kobieta o martwo bladej twarzy. Za bramą panowała atramentowa noc, na której tle wznosił się omiatany światłem reflektorów wysoki obelisk. Na jego szczycie jaśniał wąski sierp księżycy.

– Gratuluję – zza pleców dobiegł mnie jakiś zachrypnięty głos i poczułem, że ktoś kładzie mi dłoń na ramieniu.

Za mną stał Mistrz.

– Kto lubi Magritte’a, nie może być złym człowiekiem – zażartował i puścił do mnie oko.

Ukłoniłem mu się i przedstawiłem. Mistrz dwukrotnie powtórzył moje nazwisko, z głębokim charkotem wymawiając przy tym dźwięk „r”.

– Podoba się? – spytał, błysnął spojrzeniem w stronę nagiej kobiety i nie czekając na odpowiedź, oznajmił:

– Jutro może pan poznać Bellę. Proszę przyjść do mnie o czwartej.

W swoim krótkim życiu, które w każdej chwili może się skończyć, co ani trochę nie wstrząśnie porządkiem świata ani nie rozżali dziewczęcych serc, często stawałem przed różnymi wyborami i dopiero po czasie okazywało się, że były to wybory kluczowe dla moich dalszych losów. Kiedy byłem młodszy, lubiłem korzystać z wolności i pogardzałem krytykami, którzy zarzucali mi nieodpowiedzialność. Przesadnie ostrożnym tłumaczyłem, że kiedy nadchodzi czas i dojrzewa w nas zamiar, by stanąć oko w oko z przeznaczeniem, możemy wyjść wolności naprzeciw. Dlatego nie zastanawiałem się długo nad propozycją Mistrza i zostałem w Budapeszcie jeszcze jeden dzień. W tym mieście nie czułem się ani lepiej, ani gorzej niż gdziekolwiek indziej. Co prawda, miło było słyszeć, jak wszyscy wokół mówią w moim języku, ale już dawno rozstałem się z naiwną wiarą, że każdy, nawet bandyta, jeśli odzywa się do mnie po węgiersku, zasługuje na zaufanie. Oczywiście, uważałem się za Węgra i wiedziałem, że nigdy nie będę nikim innym. Przyzwyczaiałem się, że wszędzie jestem przejazdem i poza nostalgią za utraconą swojskością nie czułem szczególnych emocji ani w rodzinnym mieście, ani – dajmy na to – na galerii jakiejś zrujnowanej kamienicy w Ferencváros. Krewnych z Miskolca znałem słabiej niż Zoliego Markó czy innych ludzi nienależących do mojej rodziny i w ogóle lubiłem ich jedynie z poczucia obowiązku i przyzwoitości. Pogodziłem się z tym, że w gronie rodzinnym też jestem sam, że moja żona i dzieci są odrębnymi ludźmi, nawet jeśli nieraz potrafimy czytać sobie w myślach. Zrozumiałem, że życie na Ziemi nie zaczęło się razem ze mną i że pewnego dnia umrę. Śmiało mogłem więc kaprysić, zachowywać się nieobliczanie i wychodzić naprzeciw wolności. Nie miałem nic do stracenia.

Następnego dnia czekałem na Mistrza o umówionej porze w umówionym miejscu – przed hotelem Astoria. Nie przyszedł, ale wysłał młodego człowieka, który tak się przedstawił:

– Jestem sekretarzem Mistrza, proszę ze mną.

Wsiedliśmy do metra i pojechaliśmy do Budy, gdzie na placu Moskwy przesiedliśmy się do tramwaju. Mistrz mieszkał na Pasarét w willi otoczonej zapuszczonym ogrodem. Sekretarz zaprowadził mnie na werandę i szybko zniknął. Po chwili zjawił się Mistrz. Płócienna tunika w liliowe wzory opinała jego wydęty brzuch. Nie tylko farbował sobie włosy i brodę, ale na dodatek, niczym oficerowie dawnej królewskiej armii rumuńskiej, szminkował na czerwono usta. Gdybym nie wiedział, że jest malarzem, mógłbym go uznać za orientalnego maga albo jakiegoś groźnego szarlatana. Narzekał na ból w krzyżu. Jęcząc żałośnie, wygodnie rozsiadł się na sofie i wepchnął sobie pod plecy dwie poduszeczki.

– Sypię się – powiedział kokieterystycznie i wymienił dwanaście trapiących go chorób.  
– Ciało już mnie nie słucha. Nawet w łóżku – poskarżył się. – Zamierza mnie opuścić.

Gorzej rozmowa nie mogła się zacząć. Gdzie ja trafiłem, pytałem mężczyznę, którego jestem lustrzanym odbiciem, ja – niewolnik i niepoprawny racjonalista. Mistrz zauważył moje zakłopotanie i taktownie zmienił ton.

– Słowem, przyjechał pan z Bratysławy?

– Tak – potwierdziłem.

– A żyją tam jeszcze jacyś Węgrzy?

– Żyją – odparłem szorstko. – Na przykład ja.

– Ciekawe – zadumał się Mistrz. – Byłem kiedyś w Bratysławie.

– Dawno?

– Bardzo dawno. We śnie.

– A w rzeczywistości?

– Sen to rzeczywistość – zauważył Mistrz. – Widział pan moje obrazy. Sen to prawdziwsza rzeczywistość... Zwiedziłem wiele miejsc: Chicago, Hongkong, kraj Papuasów. Bez paszportu – zaśmiał się. – Sen jest w nas, a tego, co jest w nas, nikt nie może nam zabrać. Sen to zemsta na naszej zakrawającej na kpinę historii. Nie uważa pan?

Między nami zapadła lodowata cisza. Uspokoilo mnie, że oknami werandy szamoce nie jakaś nieokiełznana mistyczna siła, ale hałas ulicy w godzinach szczytu, że na pobliski przystanek tramwaje przyjeżdżają zgodnie z rozkładem jazdy i że liście drzew w ogrodzie są prawdziwą zielenią, a nie tylko wybrakowaną imitacją niepokojąco przenikliwych kolorów z płócien Mistrza. Za oknem panowało lato, było gorące popołudnie, którego duchota wcale nie zapowiadała wieczornej burzy, a co najwyżej zalew odurzającego zapachu kwiatów lipy. Przypomniałem sobie żonę i dzieci, a po chwili też krewnych z Miskolca, zarówno wczoraj, jak i dzisiaj na próżno czekających na mnie z kolacją.

– Co pana do mnie sprowadza? – zagadnął Mistrz niespodziewanie, ale nie arogancko.

Ponieważ nie dostał odpowiedzi, stawiał kolejne pytania.

– Dlaczego pan podróżuje?

I zaraz:

– Czym jest życie?

I jeszcze:

– Jakie jest znaczenie takich słów jak śmierć, miłość, węgierskość?

A ponieważ nie otrzymał odpowiedzi na żadne z nich, mówił za mnie.

– Jakieś tam znaczenie na pewno mają. Co rusz inne. Na moje pytania istnieje wiele odpowiedzi. Tak dużo, że przestaje to być ciekawe. Życie pełne jest głupich pytań, a na głupie pytania dajemy głupie odpowiedzi. Tyle że czymś trzeba zająć tę olbrzymią próżnię, czymś wypełnić tę wielką ciszę.

Świdrował mnie podstępny spojrzeniem, a jego zdania przywierają do mnie niczym lepkie wodorosty. Był najwyższy czas, by wspomnieć o celu wizyty.

– Interesuje mnie dziewczyna.

– Dziewczyna... no jasne, w końcu pan jest jeszcze młody.

– Gdzie ona jest?

Mistrz poprawił sobie poduszki pod plecami.

– Bella? – zachichotał. – Przecież siedzi tutaj obok mnie.

Nie było sensu pytać, jak dziewczyna, którą Mistrz nazwał Bella, znalazła się przy nim na sofie. Drzwiami nie weszła, a okna werandy były zamknięte. Musiałem przyjąć do wiadomości, że Bella siedziała cały czas z nami, ale jej nie widziałem, bo Mistrz nie otworzył mi oczu. Ach tak, cuda oniryzmu, pomyślałem.

– Proszę jej dotknąć – powiedział Mistrz.

Wolałem nie próbować i obiema rękoma przytrzymałem się krzesła. Miałem wrażenie, że Mistrzowi zrobiło się trochę mnie żal.

– Proszę ją pocałować. W usta, sutki, czy gdzie pan chce. Przekonajmy się, że istnieje naprawdę, mimo że jest złudzeniem.

– Nie mam odwagi.

– W takim razie proszę zaprosić ją na kolację.

– Nie.

– Przecież to takie proste. Wszystko może do pana należeć, jeśli przestanie pan być niedowiarciem.

Niedowierzenie było kluczowym słowem. Od niego zaczął się długi wywód, który słyszałem jakby przez sen, i chociaż podobał mi się tok myślenia Mistrza, z całej tyrady nie zapamiętałem nic poza jednym tylko zdaniem:

– W kruchej łódce między brzegami nicości.

Pospiesznie wyszedłem na zewnątrz. Zdecydowałem, że ze swojego życia wymażę również wspomnienie mężczyzny, którego jestem lustrzanym odbiciem, mężczyzny, który został tam w domu, by jako moje lepsze, niczym niespętane „ja” swoją nieobecnością przypominać mi o wolności i by mnie dręczyć.

– Grasz tylko na zwłokę – krzyczał za mną.

Zanim zmienił zdanie i ruszył za mną w pościg, zdążyłem wsiąść do tramwaju. Jego ostatnie słowa na długo utkwily mi w pamięci.

Moi krewni z Miszkolca już dawno nie żyją. Mimo że do przebudzenia zostało dużo czasu, zdążyłem już opanować niezbędne do przetrwania role. Jestem szczęśliwy

jak zwierzę. Zewnętrzny krąg mojego istnienia otacza kordon dzikiego środowiska, którego porządku pilnują dobre maniery, przepisy i nocne patrole policji.

(1985)

Lajos Grendel uchodzi za jednego z najwybitniejszych współczesnych pisarzy węgierskich. Urodził się w 1948 roku w Levicach (Léva) na Słowacji. W mieście rodzinnym zdał maturę, studia zaś odbył w Bratysławie (hungarystyka/anglistyka, 1973). Do roku 1990 pracował w wydawnictwie Madách. Poza tym piastował stanowisko prezesa Stowarzyszenia Pisarzy Słowackich, redaktora naczelnego czasopisma „Przegląd Literacki” („Irodalmi Szemle”) oraz wydawnictwa Kalligram (1993–1996). Obecnie jest wykładowcą na uniwersytetach w Bratysławie i Pradze. Zajmuje się przede wszystkim współczesną literaturą środkowoeuropejską. Mieszka w Bratysławie. Za swoją twórczość otrzymał liczne wyróżnienia, m.in. Nagrodę Stowarzyszenia Pisarzy Słowackich (*Szlovák Írószövetség díj*), Nagrodę im. I. Madácha, Attili Józsefa, Tibora Déryego. Dotychczas wydał dziewięć powieści: *Éleslövész* (1981), *Galeri* (1982), *Áttételek* (1985), *Szakítások* (1989), *Thézesz és a fekete özvegy* (1991), *Einstein harangjai* (1992), *És eljön az Ő országa* (1996, 2000), *Tömegsír* (1999), *Nálunk, New Hontban* (2001), *Mátyás király New Hontban* (2005), zbiory opowiadań: *Hűtlenek* (1979), *Böröndök tartalma* (1987), *Az onirizmus tréfái* (1993), *Vezéráldozat* (1996), *Szép históriák* (2001), *A szabadság szomorúsága* (2003), tomy publicystyki i esejów: *Roszkedvem naplója* (1992), *Hazám, Abszurdisztán* (1998) oraz wiele prac naukowych.

W Polsce jego twórczość pozostaje prawie nieznaną. Jej niewielkie fragmenty prezentowały czasopisma literackie: „Krasnogruda” (1/1993) opublikowała *Przekazy* (z powieści *Áttételek*) w tłumaczeniu Mai Paczowskiej, „Literatura na Świecie” (9/2000) – *Ostre strzelanie* (z powieści *Éleslövész*) w tłumaczeniu Małgorzaty Komorowskiej, „Zwrot” (1990/3) – *Zapiski odcienione* (na podstawie słowackiego wydania pt. *Odtienené oblomky*) w przekładzie Władysława Sikory, a „Opcje” (4/1997) oraz „Tekstualia” (2/2007) – esej *Europa Środkowa i jej widma*.

Prezentowane w „Tekstualiach” *Wybryki oniryzmu 1* pochodzą z tomu *Vezéráldozat* (*Poświęcenie hetmana*, 1996) i stanowią pierwszą część cyklu czterech „postsurrealistycznych” opowiadań.